

Trudna droga od kiczu do sztuki

PREMIERA

„Śpiewacy norymberscy” to wrzucenie widza w otchłań, by łowił rzeczy cenne i banalne. Tych pierwszych jest na szczęście więcej.

Teatr Wielki w Poznaniu porwał się na coś, czego nikt u nas nie odważył się od ponad stu lat. Wystawił „Śpiewaków norymberskich” Richarda Wagnera i już przed premierą naraził się na patriotyczną krytykę, że w stulecie niepodległości zajmuje się dziełem sławiącym wielkość sztuki niemieckiej, nie zaś polskiej. Po premierze te zarzuty stają się bezsensowne, spektakl traktuje zupełnie o czymś innym.

Zaproszony przez poznańską dyrekcję Michael Sturm postąpił inaczej niż większość reżyserów niemieckich inscenizujących w Polsce którąś z oper Wagnera. Ponieważ wiedzą, że rzadko mamy z nimi kontakt, starają się je wystawić w zgodzie z ideami kompozytora. Sturm zinterpretował „Śpiewaków norymberskich” po swojemu.

W Poznaniu nie zobaczymy XVI-wiecznej Norymbergi i trudno z początku zrozumieć, kto zaczyna Hans Sachs, szewc i poeta, postać autentyczna i wielce zasłużona w historii literatury niemieckiej. Reżyser atakuje widza za to kwintesencją niemieckiego kiczu, bo Walther van Stolzing i jego ukochana Ewa wyglądają jak Jaś i Małgosia w najkoszmarniejszej wersji figurek ogrodowych. Pulchny Amorek z łukiem jest zaś tak tłusciutki, że aż obrzydliwy.

Spektakl przede wszystkim jest jednak opowieścią o artystycznym dojrzwaniu. Walther, aby zdobyć rękę Ewy, musi porzucić chłopięcą naiwność, zostać mistrzem poezji i muzyki, zwyciężyć w turnieju śpiewaczym.

To dojrzwianie nie jest procesem łatwym, im bardziej zgłębiamy w wiedzę, tym groźniejsze możemy obudzić upiory (puenta II aktu). A i etap mistrzostwa nie gwarantuje szczęśliwości. W wyidealizowanym finale, gdy po zwycięstwie Walthera Hans głosi wielkość sztuki, dzięki której naród trwa, tłum podejmuje

jego słowa i marszowym krokiem rusza w przyszłość.

Tak oto „Śpiewacy norymberscy”, którzy zdaniem ideowych apologetów Wagnera są dowodem na wielkość niemieckiej kultury, nabierają cech uniwersalnych. Stają się rodzajem przestrogi dla nas, gdyż narodową sztukę można wykorzystać i do niebezpiecznych celów.

W monumentalnym, ponad pięciogodzinnym spektaklu Michael Sturm mnoży pomysły, własne i cudze, z innych głośnych inscenizacji ostatnich lat. Jedne są banalne jak ożywiona postać Wagnera, inne intrygujące jak nocny strażnik, symbol śmierci. Dzięki temu jest w stanie utrzymać uwagę widza i przeprowadzić go przez gąszcz muzyki Wagnera, który masą dźwięków atakuje uszy odbiorcy od początku po wielki finał, z jedną najwspanialszych scen chóralnych, jakie skomponował. A chór poznańskiego Teatru Wielkiego zabłysnął w niej w pełni.

Gigantyczną pracę wykonał Gabriel Chmura. I jeśli nawet bywały rzadkie momenty, kiedy nie w pełni był w stanie zapanować nad potęgą orkiestrowego brzmienia, muzyczna dyscyplina i skupienie zasługują na uznanie.

W licznej obsadzie solistów najlepiej wypadli świetny Frank van Hove jako Hans Sachs oraz Bjorn Waag – intrygant Beckmesser, a sposób ujęcia tej postaci wymagałby wręcz odrębnego omówienia. Nie ustępowała im Monika Mych-Nowicka, bardzo dobra wokalnie Ewa, szkoda, że odstawał od nich Christian Voigt, jako bezbarwny Walter zacierał sens tej inscenizacji.

Poprzednia polska inscenizacja „Śpiewaków norymberskich” z 1908 roku przetrwała na warszawskiej scenie dwie dekady. Nie wiem, czy w dobie powszechnego dziś pędu do ciągłych nowości obecna, poznańska będzie żyć tak długo. Nie zmienia to faktu, że już ma miejsce w historii polskiego teatru. ©

—Jacek Marczyński



Więcej zdjęć
ze spektaklu

rp.pl/kultura



♦ Frank van Hove (Hans) i Monika Mych-Nowicka (Ewa)